Przyjaciel Ludu.

Rok drugi. No. 48. Leszno, dnia 28. Maja 1836.



Polowanie w puszczy białowiezkiéj.

W całéj Litwie i znacznéj części Polski polowanie odbywa się prostym sposobem; łowy porządne, jak u Francuzów, a bardziéj jeszcze u Niemców, są tam wcale nieznane.

Tutaj myśliwy każdy na swą rękę poluje, jak mu się podoba: uzbrojenie jego składa się zwykle z flinty, częstokroć związanéj sznurkami, nabitéj śrótem lub kulą, z torby myśliwskiéj i trąbki. Sztucce i kordelasy myśliwskie wcale tu nie są w używaniu. Nie ma więc myśliwy żadnéj pomocy, oprócz psów, które w tym kraju są rasy bardzo mocnéj i odważnéj, rzucając się na wilka, a nawet na niedźwiedzia.

Jeżeli w takiéj części boru znajduje się

zwierzyna, robią tam nagankę: myśliwi stawają na stanowiskach, w niejakiéj od siebie odległości, a psy wypuszczone, biegną napędzać zwierzynę na strzelców. Zdarza się nieraz, że psy, zatrzymują zwierzynę, i zapędzają ją w przeciwną zupełnie stronę; i natenczas skutek polowania staje się wątpliwym. Nieraz nawet ranne zwierzę, wymknąwszy się i omyliwszy psów czujność, w głębi puszczy szuka schronienia i tamże zdycha. Co gorsza, zwierzę spłoszone wrzawą myśliwskiéj drużyny, opuszcza na długi czas te okolice.

Prawda, że większa część borów Litewskich, a mianowicie puszcza białowiezka nie sprzyja łowom z flintą, a to dla ogromnéj rozległości kniei, gęstości, a nadewszystko dla drzew powywracanych, i zawalających przejście; co bardzo przeszkadza myśliwemu. Jeżeli zwierz znajduje się w gęstwinie, trudno do niego przystąpić, gdy go zaś napotykamy na płaszczyznie otwartéj, zwykle zbyt wcześnie spostrzegłszy niebezpieczeństwo, ucieka: nakoniec ten rodzaj polowania wystawia nieraz myśliwego na niebezpieczeństwo spotkania się z żubrem lub niedźwiedziem. Pewniejszy sposób na wielką zwierzynę, jak n. p. żubry, łosie, jest taki: jadą sankami w te miejsca (spłaziny), które szczególniéj te zwierzęta w dzień odwiedzają, ponieważ sanek i powozów nie tak się boją jak ludzi. Możnaby tutaj zająć miejsce za kupą siana, lub też latową porą obrać sobie stanowisko rano lub wieczorem na łące, gdzie przychodzą paść się, czekając, aż się zbliżą na pewny strzał.

W nagance najprzód postrzegać się dają lisy, lub wilki, potem idą łosie, dziki, jelenie, potem niedźwiedzie, rysie, nakoniec dopiero wspaniałe żubry, leniwym krokiem ustępujące przed ścigającemi psami.

Naganki zakładane na żubry, wymagają bardzo wielu ludzi, wiele psów, a to z powodu rozległości kniei i przeszkód, które utrudzają postęp napędzających: ci są uzbrojeni w kije, niemając innego zatrudnienia, jak postępować w linii prostéj naprzód, nie zostawiając żadnéj przerwy, robiąc jak największą wrzawę, aby na strzelców wpędzić żubrów. Tymczasem doświadczenie nauczyło, iż żubry nie lękając się łoskotu, częstokroć rzucają się na nagankę, dla tego zwykle pomiędzy niemi, w niejakiéj odległości, rozstawieni są strzelcy. Nadto i z siecią, zrobioną z łyka lipowego, odbywają się tutaj łowy, od niepamiętnych czasów.

Łubo niebezpiecznie jest zbliżać się do żubrzycy z cielęciem; jednakowoż zdarza się nie kiedy, że to oddala się czasem od matki; a natenczas przy pomocy psów, łatwo je schwytać można.

Sposób polowania w dawniejszych czasach, znajdujemy wybornie opisany w wiadomości o żubrze, umieszczony w Przyjacielu Ludu Nrze. 1, r. 2.

Z tém wszystkiém i teraz, zwłaszcza dla cudroziemca, polowania na żubry w puszczy Białowiezkiéj bardzo są interessujące. Trudno sobie wystawić ów liczny orszak myśliwski, złożony ze stu przeszło strzelców, w szarych mundurach z zielonemi wyłogami, z których jedni są konno, drudzy pieszo; jedni prowadzą sfory psów, drudzy trąbią na trąbkach myśliwskich; podczas gdy z drugiéj strony widać kilkuset naganiaczów, którzy w swych szarych siermięgach, w łapciach z kory lipowéj, z miną ponurą przedstawiają widok posępny i dziki. Borowi kierują łowami. Orszak myśliwski, wiernie na obrazku wystawiony, składa się pospolicie z 40 do 50 powozków lub w zimie sanek, i strzelców pieszych i konnych, wyruszających po danym znaku, na miejsce wyznaczone. Przybywszy tutaj naganiacze ustawieni i kierowani przez strzelców, zajmują wskazaną sobie linią, a myśliwi swoje stanowiska: wystrzał z flinty bywa zwykle za znak rozpoczęcia łowów. Miesiąc Luty roku 1823, przedstawiał nam puszczą Białowiezką w najpiękniejszéj zimowéj szacie. Śnieg okrywający ziemię ułatwiał sannę: przytem temperatura umiarkowana powietrza, sprzyjała polowaniu. Dnia 13 weszliśmy do kniei, zmierzając do królewskiego mostu, gdzie mieszka leśniczy, u którego miała się zebrać cała myśliwska drużyna. Nazajutrz po śniadaniu, odpowiedniém na téj dzikiéj kniei, złożonem z szynki niedźwiedzia, mięsa łosiego, dzika i młodego żubra, który w wigilią przez wilków rozszarpany został, zaczęliśmy od polowania na łosie i było ich w tem zagajeniu 40: wypędzone przez naganiaczów i psów, rzuciły się z taką szybkością na linią myśliwych, że tylko 6 zdołaliśmy ubić. Nazajutrz chcieliśmy założyć na niedźwiedzie; lecz niemając od borowych pewnych w tym względzie wiadomości, założyliśmy na żubry. Strażnicy dali nam znać o starym żubrze tuż w bliskości Białowieży: udaliśmy się na miejsce wskazane, i wkrótce żubr pędzony od psów, usiłując naprożno przedrzeć się przez linią naganiaczów, rzucił się na strzelców i dostał postrzał śmiertelny. Był to byk 10 lat mający: broda i sierć były bardzo krótkie, pomimo pory roku, w któréj zwykle mają włos długi. Zawieziony został do Warszawy i tamże wypchany, znajduje się w Muzeum Szkoły leśnéj.

Dziadek.

(Z rękopismów K. Brodzińskiego.)

Młodzieniec. Dziadku, gdzież tu dostać chleba?
Dziadek. O! po chleb rano wstać trzeba,
Bo droga przykra i długa:
Najlepiéj ująć się pługa;
Za pługiem będzie chleb znojny,
Ale zdrowy i spokojny.
Młod. Gdzież tu są dziadku, zabawy?

Dziad. Sześć dni drogi do nich będzie.
Sześć dni obchódź twoje sprawy,
Dom i przyszłość miéj na względzie,
Zysk obrachuj; potém śmiele
Hasaj sobie przez niedzielę.
Młod. A gdzie też tu szkoła będzie?
Dziad. Szkół i mędrków jest do koła,
Lecz w kółko chodząc czas stracisz,
Zawrotem głowy przypłacisz.
Ale jest na niebie karta,
Dzieciom ziemi wciąż otwarta;
Jest i książka ziemi matki,
Z któréj uczy wszystkie dziatki;
Jest i serce, są i ludzie;
W zyskach, stratach, w fraszkach, w trudzie,
Jedni drugich uczą sami.
Czule, czynnie, puść się w drogę:
Ucz się własnemi błędami;
Nie leń się, szukaj, a znajdziesz;
Nie wiele pytaj, a zajdziesz. —
Młod. Gdzież tu znaleść przyjaciela?
Dziad. Tego, to nam Bóg udziela.
Nie złowisz go wędą złotą,
Ni talentem, ani cnotą. —
Kto w czas zyskał przyjaciela
Pociech i troski spólnika,
Niech z pełni serca wykrzyka!
Bo jako powietrza ciału,
Tak duszy trzeba udziału.
Kto będzie w słowa oszczędny;
Tobie otwarty a względny;
Jeżeli niewiedzieć czemu,
Tęskno ci będzie ku niemu;
Gdy i milcząc, tobą władnie,
Skryty twój smutek sam zgadnie;
Kiedy złe, i dobre swoje,
Z tobą rad święcić łzą tajną:
Jeśli, poświęcenie twoje,
Przyjmie jako rzecz zwyczajną,
Wykrzyknij pełen wesela
Że znalazłeś przyjaciela.
Młod. A gdzie też tu miłość mieszka?
Dziad. Gdzie różana wiedzie ścieżka,
Tam chódź próżnuj i myśl o niéj
A wnet Cię przedmiot dogoni,
Jaki sam sobie wymarzysz.
Będzie też to dusza sama,
Mądra, czuła i wesoła,
I coś jeszcze nad anioła.
Ale to nie twój towarzysz;
Bóstwo, które tworzysz sobie,
Niewcielone, umrze w tobie.
Gdyś stworzony syn Adama,
Szukaj tak, jak ty Stworzenia;
Nie trać czasu na ofiary
Dla utworu własnéj mary.
Tam, gdzie w gospodarnéj chatce,
Widać kwiaty u podwórka,
Gdzie pomocna swojéj matce,
Niezbyt głośna mieszka córka:
Tam bądź wesoły, a grzeczny,
Mniéj natrętny, a stateczny,
Szczery bądź mową i okiem,
Nic nie dodaj, nie ukrywaj,
Ni własnych marzeń urokiem
Zalet lubéj nie odziwaj;
Jéj nie zawódź ani ciebie.
Bo jak ogień błyszczy z siebie,
Tak miłość sama się zdobi;
Sama, lepszymi nas robi.
Gdy litość sercem jéj włada
A ceni męzkie przymioty,
Gdy nad strój, czystość przekłada;
Kiedy wesołéj jest cnoty;
Gdy boleść sercem zrozumie,
Ale zagadać ją umie;
Jeśli dbała, bez porady,
O porządek w domu matki;
Jeśli lubi bez przysady,
Dzieci, tańce, śpiewy, kwiatki,
Szaléj za nią! to twa żona
Z opatrzności naznaczona.
Młod. Gdzie też tu mieszka wesele?
Dziad. Dawno o niém niesłyszałem,
Mało ci o nim kto powie;
Kiedyś, w młodości je znałem:
Ojcem jego było zdrowie,
Miało niewinność za żonę;
Potém, z zasługą złączone,
Dorobiło się dóbr wiele, —
Dziś, podupadło, w niedoli,
Chyba, gdzie z dziećmi, swawoli. —
Młod. A gdzie też tu mieszka cnota?
Dziad. Skryła się za swoje wrota,
Od dawna samotnie żyje;
Obdarli ją ludzie podli:
Z żalem przed światem się kryje,
Tajnie, za wszystkich się modli.
Byłaby nagrodą sobie,
Spokojna, czystém swém tchnieniem,
Lecz teraz żyje w żałobie,
Bo ludzkiém cierpi cierpieniem.
Młod. A gdzież tutaj szczęście mieszka?
Dziad. Nie tędy do niego droga.
Pytają się o nie wszędzie,
A te nieznane nikomu.
Odszedłeś go w ojców domu,
A nieznajdziesz aż u Boga.
Cichym bądź w sercu i w mowie,
W swych czynach szukaj wytchnienia.
Z resztą się spytaj sumnienia;
Umie po polsku, toć powie
Młod. A gdzie też tu wiara mieszka?
Dziad. Jeżeli niewiesz od matki,
To ci ją pokażą dziatki
Najprościejsza do niéj ścieżka.
Nie pytaj o nią szczęśliwych,
Ani mędrców tego świata;
Szukaj jéj w miłości brata,
W czynach i uczuciach tkliwych:
A kiedy Cię wszystko zdradzi,
Ona, w nieszczęśliwym stanie,
Sama wyjdzie na spotkanie,
Do domu Cię zaprowadzi.



Mappa Danii do wyprawy Czarnieckiego.

Wyimki z Pamiętników Paska.

Rok 1658.

Wyprawa do Danii.

Na końcu Sierpnia poszliśmy do Danii, na pomoc królowi duńskiemu, który uczynił dywersyą wojny Szwedzkiéj u nas w Polsce; nie tak ci to on podobno uczynił z politowania nad nami, lubo ten naród jest od dawna przychylny narodowi polskiemu, jako dawne świadczą pisma, ale przecie mając wrodzoną przeciwko Szwedom nienawiść i owe zawzięte w sąsiedztwie nieprzyjaźnie, chwycił się sposobności, za którą mógł się krzywd swoich wtenczas, kiedy król Szwedzki był zabawny wojną w Polsce, pomścić. Wpadł mu z wojskiem w państwo, bił, ścinał i zabijał. Gustaw, wojennik wielki i szczęśliwy, powróciwszy z Polski i niektóre fortece w Prusiech osadziwszy, potężnie przycisnął Duńczyków, tak, że i swoje od nich odebrał i państwo ich prawie wszystko opanował. Duńczyk tedy koloryzując rzecz swoją, że to właśnie z miłości ku narodowi naszemu uczynił, że pakta złamał i wojnę przeciwko Szwedom podniósł, prosi o sukurs

Polaków, prosił też i cesarza. Cesarz wymówił się paktami, które miał z Szwedem, i że z téj przyczyny posłać posiłków nie może. Druga wymówka była, że wojska natenczas nie miał, pozwoliwszy królowi polskiemu zaciągnąć wszystko na jego usługę. Król tedy nasz posełał Czarnieckiego z sześciu tysięcy wojska naszego. Posełał téż, wprawdzie z swego ramienia, Generała Montekukulego z wojskiem cesarskiém. Tam kazano nam iść kommonikiem, Wilhelm zaś, elektor Brandenburgski, był w osobie króla polskiego, i onto był nad temi wojskami niejako naczelnikiem. Zostawiliśmy tedy tabory nasze w Czaplinku, mając nadzieję powrócić do nich, najwięcéj za pół roku.

Tam, kiedyśmy wychodzili, było bardzo wiele i różnych namyślań w ludziach wojskowych. Trwożyło to nie jednego, że to iść za morze, iść tam, gdzie noga polska nigdy nie postała, iść z sześciu tysięcy wojska przeciwko temu nieprzyjacielowi, do jego własnego państwa, któregośmy potęgi w ojczyznie naszéj wszystkiemi siłami nie mogli wstrzymywać. A jeszcze też nie było udecydowaném, żeby wojsko cesarskie miało z nami pojść. Ojcowie pisali do synów, żony do mężów, żeby tam nie chodzić, choćby zasług i pocztów postradać; bo wszyscy nas sądzili za zgubionych. Ojciec jednak mój, lubo mię miał jednego tylko, pisał do mnie i rozkazał, żebym imię boskie wziąwszy na pomoc, tém się najmniéj nie trwożył, ale szedł śmiele tam, gdzie jest wola wodza, pod błogosławieństwém ojcowskiém i macierzyńskiém, obiecując gorąco majestatu boskiego błagać i upewniając mię, że mi i włos z głowy nie spadnie bez woli bożéj. Gdyśmy tedy poszli do Międzyrzecza, już na granicy uchodziło siła kompanii i czeladź nazad do Polski, osobliwie Wielkopolaczków, z pod tych nowo-zaciągniętych powiatowych chorągwi, jakoto: starosty osieckiego, półku wojewody podlaskiego, Opalińskiego. Chorągiew Kozubskiego wszystka się rozjechała, sam tylko z chorążym i z jednym towarzyszem z nami poszedł. Wojewody Sandomirskiego, Zamojskiego, chorągwi huzarskiéj została wszystka kompania, prawdziwiéj, pouciekała, tylko przy chorągwi sześciu towarzyszów i namiestnik zostawszy; poszli przecie z nami i włóczyli się tak przy wojsku; zwaliśmy ich cyganami, że to w czerwonych szatach była czeladź. Z pod inszych chorągwi zostało po dwóch, po trzech. Tak oni tchórzowie i dobrym pacholkom serce byli zepsuli, że nie jeden wodził się myślami. Wchodząc tedy za granicę, każdy według swojéj intencyi swoje Bogu złożył śluby; zaśpiewało wszystko polskim trybem: O gloriosa Domina; konie zaś po wszystkich półkach uczyniły okrutne parskanie, prawie aż serca przyrastało, i wszyscy to osądzili za znak dobry, jakoż i tak się stało. Poszliśmy tedy tym traktem od Międzyrzecza; przechodziło wojsko pagórek, z którego widać było jeszcze granicę polską i miasta. Jaki taki obejrzawszy się, pomyślił sobie: „miła ojczyzno! czy cię też już więcéj oglądać będę!“ Jakaś tęskność ogarniała z razu, póki blisko domu, ale skorośmy się już za Odrę przeprawili, jakby ręką odjął; (a daléj poszedłszy, już się i o Polsce zapomniało). Przyjęli nas tedy Prusacy dosyć uprzejmie, wysławszy kommissarzów swoich jeszcze za Odrę. Pierwszy tedy prowiant dano nam pod Kiestrzynem, i tak dawano wszędy, pókiśmy elektorskiego państwa nie przeszli, i przyznać to musimy, że dobrym porządkiem; bo już było takie urządzenie, żeby noclegi były rozpisane, przez całe jego państwo, i już na noclegi zwożono prowianty. Postanowiona też była w wojsku naszém maniera niemiecka, że przechodząc miasta, oficerowie z szablami dobytemi przed chorągwiami jechali, towarzystwo zaś pistolety, czeladź bandolety do góry trzymając. Karanie zaś było za przekroczenia już nie ścinać, ani rozstrzelać, ale za nogi u konia uwiązawszy, włóczyć po majdanie, tak we wszystkiém, jako na uczynku złapano według dekretu, albo też dwa lub trzy razy na koło; zdało się to z razu, że to nie wielkie rzeczy, ale okrutna to jest męka, bo nietylko suknia, ale i ciało tak opada, że same tylko zostają kości.

Ruszyło się potém wojsko do Nibolu, ztamtąd do Apenrade, ztąd znowu poszliśmy na zimowisko do Haderschleben, gdzie wojewoda sam stanął z jednym tylko półkiem naszym królewskim i półkiem jego dragonii, inne zaś półki w Kolbryku, w Horsenz i po inszych wsiach i miasteczkach; a lubo głębiéj miało iść wojsko w Duńskie królestwo, uważał to jednak dowódzca, żeby stanąć na zimę jako najbliżéj, z téj przyczyny, aby przecie więcéj jeść chleba Szwedzkiego niż duńskiego.

Lud też tam nadobny; białogłowy gładkie i zbyt białe; stroją się pięknie, ale w drewnianych trzewikach chodzą, wiejskie i miejskie; gdy po bruku w mieście idą, to taki czynią kołat, iż nie słychać kiedy człowiek do człowieka mówi; wyższego zaś stanu damy takich zażywają trzewików jak i Polki; w affektach zaś nie tak powściągliwe jak Polki, bo lubo z razu jakąś niezwyczajną pokazują wstydliwość, ale zaś za jedném posiedzeniem i przemówieniem kilku słów, zbytecznie i zapamiętale zakochają się i pokryć tego nie umieją: ojca, matki i posagu bogatego gotowusieńka odstąpić i jechać za tym, w kim się pokocha, choćby na kraj świata. Łóżka do sypiania mają w ścianach zasuwane, tak jako szafa, a pościeli tam okrutnie siła ścielą.

Tam będąc w Danii znosił się z Elektorem nasz Wojewoda często, gdyż on był w osobie króla polskiego i miał dowództwo tak nad naszém, jako i nad cesarskiém wojskiem, którego było 14000 z Generałem Montekukulem, a z nim było Prusaków 12000, ale lepszego ludu niżeli cesarscy, i woleliśmy zawsze z nimi obozem stawać, bo nam zaraz do naszego obozu nasłali

szwaczek. I to dziwna, że w kraju tak obfitym, gdzie u nas wszystkiego było pełno, a oni byli tydzień na miejscu postali, to zaraz do nas po kweście żony swe przysłali. Przyszła kobietka nadobna, młoda, a chuda jakoby z najcięższego oblężenia; zbliżywszy się do szałasu, taką prawiła oracyą: „Mospan Polak, daj troszki kleb, będziem tobie koszul uszyć.“ Spojrzawszy na owę nędzną, to się musiało dać jałmużnę; komu téż potrzeba było koszule szyć, to szyła i tydzień i dwie niedziele; jakoż nie trudno było o płótno, bo go wozili z czaty poddostatkiem, a uszyć nie miał kto, bośmy w wojsku mieli tylko jednę kobietę trębaczkę; z téj racyi była tedy z nich wygoda. Jak się zaś mężowie nie mogli ich doczekać, to przyszli je szukać od szałasu do szałasu; skoro znaleźli, to je wzięli z sobą, podziękowawszy, że je przeżywiono; jeżeli też jeszcze która była potrzebna, że koszul niedoszyła, to jeno było dać mężowi sucharów, to poszedł, zostawiwszy żonę na dalszy czas, a sam do niéj nadchodził czasami. Z tych małp nie jedna tak się poprawiła przez dwie niedziele, że ich zaś mężowie niepopoznawali. — Aż tam już radzą jak się podszańcować, jak mury rąbać; a czém rąbać, nie wspomnieli. A siekiery kędy? Dopiero strażnik kazał zaraz Wołoszy z pod chorągwi, żeby się rozjechali po wsiach o mil dwie albo trzy, dla nabycia siekier. Jeszcze nie świtało, a już 500 siekier na kupie leżało. Skoro tedy zegary poczęły bić i z północka kazano trąbić pobudkę, wstał sam strażnik, mało co śpiąc, i owe siekiery kazał podzielić między chorągwie i piechotę; w godzinę po pobudzce kazał otrąbić, żeby byli gotowi do szturmu za godzinę i żeby snopy każdy niósł przed sobą na piersiach, dla postrzału od ręcznéj strzelby; ażeby wszyscy wraz skoczywszy pod mury i jako najlepiéj przycisnąwszy się do nich, żeby z góry nie rażono, drugim odstrzeliwali. Gdy tedy świtać poczęło, podemknęło się wojsko bliżéj pod miasto. Ja też dopiero do księdza; rzecze mi potém: pan porucznik Charlewski prosi cię z ochoty do przywodzenia czeladzi. „Niechże tam już oni idą, a waść zostań,“ odpowiem. „Już to wszyscy słyszeli, żeś mię wacpan prosił; rozumiałby kto o mnie, że ja się lękam; pójdę.“ Jakeśmy z koni zsiedli, aż też zsiada Kossowski Paweł i Łącki. Było nas tedy przy czeladzi, z pod naszéj chorągwi pięć, ale komenda postaremu przy mnie była; bo mi już była dana dopóty, dopóki owi starsi żołnierze nie namyślili się na ochotę. Oddawszy się tedy Boskiéj i Jego Najświętszéj Matki protekcyi, każdy swoje z osobna Jego Ś. Majestatowi poślubiwszy wota, z kompanią się też już tak właśnie jako na śmierć pożegnawszy, stanęliśmy już osobno od konnych. Xiądz Piekarski, Jezuita, uczynił do nas exortę w ten sens. „Lubo wdzięczna jest Bogu ofiara każda, z serca szczerego dana, to ta osobliwie najmilsza ze wszystkich: kto krew swoją za dostojeństwo Jego Świętego Majestatu na plac niesie. Za cóż pobłogosławił Abrahama, że wszystek świat plemię jego odziedziczyło, tylko za to, że na jedno Boskie rozkazanie z ochotą krew ukochanego poświęcił Izaaka. Woła na nas krzywda Boska, od tego narodu poniesiona; wołają świątnice pańskie, od nich po całéj Polsce zprofanowane; woła krew braci naszych i ojczyzna ręką ich spustoszona; woła naostatek Najświętsza Panna, Matka Boska, która jest imienia przeczystego, że ten naród jest bluźniercą! żebyśmy za te pretensye ujęli się szczerze, żeby w osobach naszych widział jeszcze świat nieumarłą przodków naszych sławę i fantazyą. Niesiecie tu, odważni kawalerowie, z Izaakiem krew swoją na ofiarę Bogu; upewniam was imieniem Boskiém, że kogo Bóg, jako Izaaka, samą jego kontentując się intencyą, zdrowo i z sławą dobrą z téj wyprowadzi okazyi, i nadal wszelkiém swojém nagradzać mu będzie błogosławieństwem; kogoby zaś cokolwiek potkało, za najświętszy majestat Boga i Matkę Jego wylana kropla krwi, by najcięższe, wszystkie obmyje grzechy i wieczną bez wątpienia w niebie zgotuje koronę. Oddajcież się temu, który dziś ubogo w jasełeczkach położony, krew swoją ochotnie dla zbawienia waszego ofiaruje Bogu Ojcu. Ofiarujcież te swoje teraźniejsze czyny w nagrodę jutrzennego nabożeństwa, które zwyczajnie o tym czasie odprawiamy, witając nowego Gościa Boga, w ciele ludzkiém na świat zesłanego. A ja w tym mam nadzieję, którego przenajświętsze wspomninam imię Jezus, i w przyczynie przenajświętszéj Jego Matki, do któréj wołam: „broń czci Syna Twego!“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kilka słów o Arabach i ich powieściach.

(Dokończenie.)

Niejaki Giabal, Beduin, miał klacz najsławniejszą na cały kraj, z biegłości. Hassad-Pacha, wezyr w Damaszku, chciał ją koniecznie kupić i dawał mu znaczne summy, lecz Giabal za żadne pieniądze przedać jéj niechciał. Groził mu wezyr, iż jeżeli jéj dobrowolnie nie przeda, gwałtem mu ją weźmie. Lecz, ani prośby, ani groźby nic nie skutkowały. Natenczas Giafar, inny Beduin, zapytał się Hassad-Pachy, co mu za to da, jeżeli mu przyprowadzi klacz Giabala. „Wóz twój od obroku napełnię pieniędzmi!“ odpowiedział mu wezyr. Giafar zaś w ten sposób zamysł swój do skutku doprowadza. Wiedział, iż Giabal wiąże klacz przy swym namiocie, a łańcuszek od niéj, u łóżka swego zatyka na sierdzionek. Wszedł tedy Giafar po cichu do namiotu; przyszedłszy do łóżka, gdzie Giabal spał, odhaczył sierdzień i wyszedł z łańcuszkiem. Wsiadłszy już na koń, zawołał donośnym głosem: Giabalu! ja Giafar kradę ci klacz, lecz ostrzegam za wczasu, wstawaj i goń mnie!“ — Giabal wypada z namiotu i widzi uciekającego Giafara; niema innego konia; bieży do pobliskiego

namiotu brata, który miał klacz téj saméj krwi i cnoty, co ukradziona, wsiada nań; oprócz tego brat jego i czteréj Arabowie gonią razem z nim Giafara. Gonili go cztery mile, nim go dojechali; już go nareście prawie dopędzali, już Giabal wyprzedzając wszystkich na klaczy brata, wzywał Giafara, aby się zatrzymał, aby mu klacz oddał; lecz Giafar niczém nieporuszony, ciągle uciekał; w tém Giabal spostrzega, że klacz jego pod Giafarem słabnie i ustaje, i że ją łatwo z swymi towarzyszami dogoni i schwyci; krzyczy więc na uciekającego: Giafarze, przebij jéj prawe ucho i uderz piętą!" — Natychmiast uczynił to Giafar, a klacz jakby nową siłą ożywiona, pył tylko ścigającym do łykania zostawując, lotem błyskawicy Giafara uniosła. — Tak Arab każdy przyzwyczaja konia swego, pewnym, tajemnym sposobem do natężenia największego sił; lecz tylko w niebezpiecznych przypadkach używa tego sposobu, natenczas koń nadzwyczajnym biegiem idzie i żaden inny go niedoścignie. Lecz, ani bratu, ani synowi, sposobu tego nie powierza. Gdy brat i towarzysze Giabala wyrzucali mu, że sam podał sposób Giafarowi do ucieczki, i z własnéj winy utracił klacz; rzekł im z pewną dumą: „wolę ją utracić, jak ją o sławę przyprawić. Chcecież, żeby w pokoleniu Wemd-Ali (gdzie są najlepsze konie) mówiono, iż jest koń, który klacz Giabala prześcignie!" — Z tą pociechą powrócił do domu. Giafar odebrał nagrodę. W jedném miasteczku, sam Lamartine był świadkiem następnego zdarzenia: niejaki Beduin Bani, z odległego pokolenia, wiedział, iż na niego siedmiu Beduinów czatuje za miastem, a koniecznie tamtędy potrzeba mu było przejeżdżać. Prosił tedy Lamartina służących o wojłok, który doskonale zmoczywszy przypiął popręgiem na grzbiet konia; poczém koń mocnego dostał laxansu. Nazajutrz tak był cienki, jakby wcale brzucha nie miał; jeść mu też nic nie dał. Przypiąwszy mocno popręgiem siodło, wsiadł i wyjechał za miasto. Tam, gdy go siedmiu Beduinów obskoczyło, zamiast się im bronić, krzyknął na konia: Jah Hamra!" (co znaczy: dziś twa koléj!) a koń jak błyskawica uniósł z pośród Beduinów swego pana i naprożno ścigali go tamci, aż do jego pokolenia.

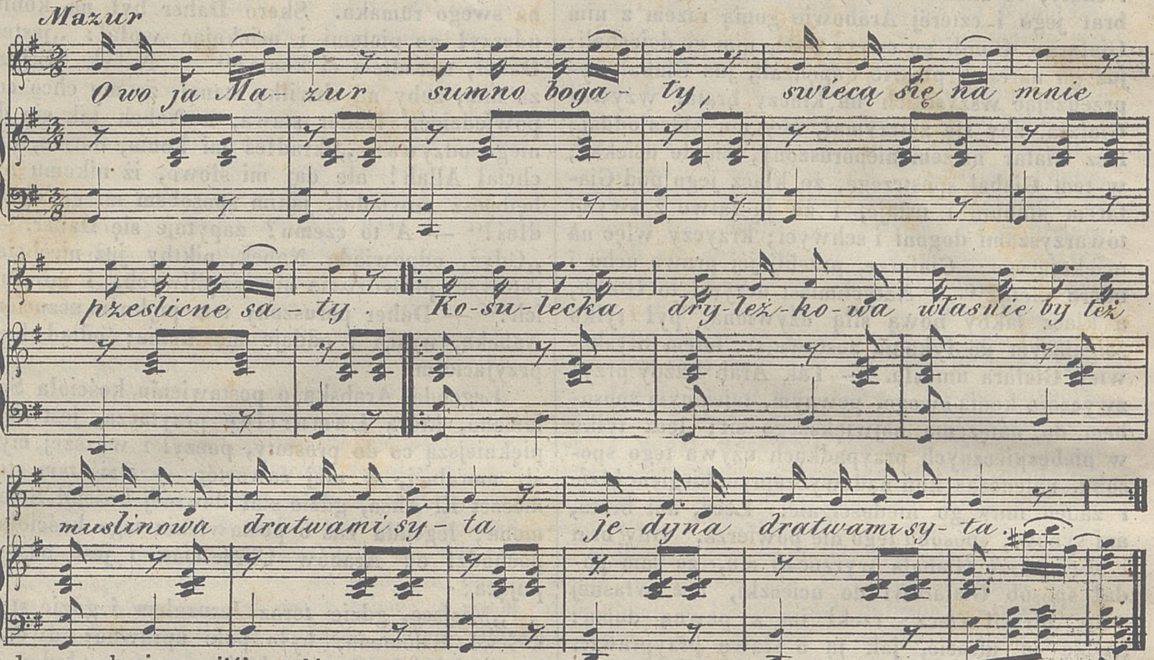
W pokoleniu Negade była klacz równie sławna jak Giabala. Beduin Daher chciał ją kupić i dawał za nią wszystkie swe wielbłądy i konie, lecz Nabek, jéj właściciel, niechciał jéj przedać. Postanowił więc Daher ukraść ją. Ubrał się w łachmany, umalował sobie twarz sokiem wyciśniętym z kawy, obwiązał sobie szyję i nogi różnemi płatami i tak ubrany położył się nad drogą, którędy spodziewał się, że Nabek przyjeżdżać będzie. Gdy Nabek nadjeżdzał, zaczął lamentować i płakać; ten go niepoznaje i pyta, co mu się stało? Daher słabym głosem prosi go o pomoc: jestem ubogi kaleka, zostawiony tu bez pomocy, rzecze, i jeżeli mi jéj odmówisz, umrę! Nabek kazał mu wsiąść z tyłu z sobą na konia, lecz ten odpowiada, że nie może. Natenczas ulitował się nad nim Nabek, zsiadł i wsadził go na swego rumaka. Skoro Daher był na koniu, uderzył go piętami i uciekając wołał: „jestem Daher, ukradłem ci konia!" — Nabek krzyczy za nim, żeby na chwilkę stanął, że mu chce coś powiedzieć. Daher stawa, a Nabek tak się do niego odzywa: „ukradłeś mi konia, darmo, tak chciał Allah! ale daj mi słowo, iż nikomu nie będziesz powiadał, jakim sposobem mi go ukradłeś!" — A to czemu? zapytuje się Daher. — „Gdyż, odpowiada Nabek, niktby już niechciał ratować prawdziwie nieszczęśliwych, i mijałby ich!" — Daher poruszony tem piękném uczuciem Nabeka, wraca i oddaje mu konia; odtąd byli przyjaciołmi.

Legenda Arabska o postawieniu kościoła Salomona, którą Lamartine przytacza, jest najpiękniejszą co do prostoty, poezyi i wyższéj myśli moralnéj, w niéj zawartéj. — Dziś tam stoi meczet El-Aksa, gdzie stał dawniéj kościół Salomona; legenda zaś o postawieniu tego kościoła, pochodzi od Arabów Chrześcian i jest następująca:

„Miejsce, gdzie teraz Jeruzalem i gdzie stał kościół Salomona, było pole uprawne; dwóch braci odziedziczyło tę włość po matce. Jeden z nich miał żonę i dzieci; drugi był nieżonaty; razem uprawiali wspólną rolę. Gdy czas żniw nadszedł, powiązali zboże w snopy, i poznosili je na dwa równe stogi. W nocy, młodszy brat, który niemiał żony, powziął dobrą myśl, i rzekł sam do siebie: brat mój ma żonę i dzieci do żywienia, nie jest więc sprawiedliwie, ażeby zbiór mój był równie wielki jak jego; pójdę więc i zaniosę mu na jego stóg kilka snopów potajemnie, nie spostrzeże się, i nie będzie mi tego mógł odmówić. Téj saméj nocy obudził się starszy brat, i rzekł do żony; mój brat jest młody, żyje bez towarzyszki, niema nikogo, ktoby mu w pracy dopomagał i pocieszał go w biedzie, nie jest więc sprawiedliwie, ażebym ja miał większy zbiór od niego, wstańmy, idźmy i dodajmy mu potajemnie kilka snopów; on się nie spostrzeże, i nie będzie mi mógł odmówić." Jak sobie umyślili, tak uczynili. Nazajutrz, każdy z braci przyszedłszy na pole, bardzo się zdziwił, iż jego stóg był równie wielki jak wczoraj i że nic nie brakowało. Ani jeden, ani drugi niemógł sobie wytłumaczyć tego cudownego zjawiska; robili tak nocy kilka, lecz każdy zanosił tyle swemu bratu snopów, ile tamten mu był przyniósł, i tak z wielkiém ich zadziwieniem stogi zawsze zostawały równe, aż gdy jednéj nocy obydwaj, czatując, ażeby sobie wytłumaczyć przyczynę tego cudownego zdarzenia, spotkali się, niosąc snopy, które sobie przeznaczali. A zatém to miéjsce, gdzie tak dobra myśl dwom ludziom tak stale przychodziła, musiało być przyjemne Bogu, i ludzie go pobłogosławili, stawiając na tém miéjscu Dom Boży.

W. A. W.

Śpiew gminny o ubiorze Mazowieckim.



Jedna w robocie u miłéj swacki
Drugą słuzbista dała do pracki
:|: Trzecia stara w ługu moknie,
Cwarta nowa wisi w oknie,
Piąta w schowaniu, jedyna. :|:

Cerwone portasy od karmazynu,
Po nieboscyku najstarsym synu,
:|: Co pojechał na wojackę
Na te strasną zabijackę
W łeb postrzelony, jedyna. :|:

I pasik takze i ten od święta,
Co w nim pradziadek pasał cielęta
:|: Z materyi samolitéj,
Jezowem futrem podsyty,
Cała podsewka, jedyna. |:|

I kontus takze ten nakrapiany,
I snurek na nim tez konopiany
:|: Ze sklanemi guzicami,
I długiemi łapicami
Wisą rękáwy, jedyna. :|:

I pasik takze kształtu pięknego,
Z jęcmionnéj słomy kutas u niego.
:|: Juz minęły takie casy
Jak bywały takie pasy
W nasym Mazowsu, jedyna. :|:

I capka takze i ta kucmiasta
Kształtu pięknego cworograniasta,
:|: I chodacki z ostrożkami,
Jakich niemas między nami
W tem tu Mazowsu, jedyna. :|:

I sabla takze i ta ostżona
W kilku potyckach juz doświadcona,
:|: O jakze ja nią wywijał
Kiedy ja się z chłopy bjiał
W Cerwsku, na piwku, jedyna. :|:

Jechałem przez wieś blisko miastecka
Tam mnie spotkała slicna dziewecka,
:|: Prosiła mnie do pokoju
Widząc mnie w pysnym stroju
Gościa zacnego, jedyna. :|:

Dobyłem rozku z dobrą tabacką
Pocęstowałem dziewecką gracką,
:|: A ona tez jak kichnęła
I do mnie się uśmiechnęła
Mére zrebica, jedyna. :|:

Mowię ja do niéj, będzies mnie chciała?
Ona mi zaraz rąckę podała,
:|: Ojciec z matką wybieżeli,
Jak się tylko dowiedzieli
Już ci wesele, jedyna. :|:

O jakze wiele mnie kostowało
Z mojéj kiesieni co się wydało
:|: Utraciłem grosy ctery
Aby dudy, basy żnęły
Dla mojéj Kachny, jedynéj. :|:

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)